

G

Jest we mnie szczeniak

Gdy w felietonie napisał, że chciałby być pochowany w ogródku za domem pod Warszawą, zadzwonił do niego znajomy poeta z Katowic: - Ale, Kazik, nie możesz nam tego zrobić - lamentował. - Ty musisz leżeć tutaj, w Katowicach, w swojej małej ojczyźnie, żebyśmy mieli do ciebie blisko.

- Co on sobie, kurwa, myśli, że ja umrę przed nim? - wściekł się Kutz.

Poeta nie żyje od roku, Kutz umarł we wtorek w szpitalu w Międzyzlesiu pod Warszawą.

Zostanie pochowany w Katowicach. - Gdyby pochowano go na Powązkach, przyjechalibyśmy z łopatą i byśmy go wykopali - pisze do mnie na Facebooku znajomy Górnoślązak.

Był jednym z najważniejszych ludzi w moim życiu - nauczył mnie odwagi, pyskowania i dał mi poczucie niezależności i wolności. Mówił: „Jestem wolnym Ślązakiem, wszędzie obcy”.

Pięć lat temu zapytałam go, gdzie trafi po śmierci:

- Oczywiście nie do nieba ani do piekła, bo czegoś takiego nie ma. To będzie coś przypominającego forum greckie. Na kamiennej ławce będę siedział między Modzelewskim i Michnikiem. A ze sceny ksiądz Tischner będzie mówił góralskie dowcipy. To będzie swawolne i wesołe miejsce wolnych ludzi.

Tamtą rozmowę przeprowadziłam dla telewizji, do cyklu „Rozmowy poszczególne”, w jego domu w podwarszawskich Kaniach.

Kawa była dobra, mocna, z włoskiego ekspresu. Koty zerkają zza szyby w kuchni, zdziwione, skąd w przytulnym domu Kazimierza Kutza tylu ludzi, ale nie odważyły się wejść do środka. Reżyserka Monika Górka po śmierci Kutza napisała do mnie: „Oglądam, słucham, czas się zatrzymał”.

Zaczepił wtedy pierwszy: „Zapyta mnie pani, czy czuję się spełniony? Liczę na to, bo jak każdy człowiek w starszym wieku, który wyszedł już z zawodu, nie ma w sobie tej pompy co niegdyś, patrzę z boku na swoje życie i szukam do niego klucza”.

Ile wyrąbać węgla

Reżyser to takie zwierzę, które musi być ciągle w środku żywiołu. Nadstawiać się życiu. Najlepiej wychodzą takie filmy, które się zwierzęco przeżyło. Z witalnością po matce byłem urodzony do tej roboty: chciałem brać wszystko totalnie. Być najlepszym. W picu wódki, zdobywaniu kobiet, no i w robieniu filmów. Więc żyłem na pełny gaz. Pazerny na świat. Grałem w banque w pracy i prywatnie.

Jak zjeżdża pani na dół do kopalni, to musi tyle pani wyrąbać, na ile pani ma siły. Im pani więcej wyrąbie, tym więcej za to dostanie i ma poczucie, że jest lepsza od tych, których nie stać na taki wysiłek. Sztuka to jest nieustannie praca wyczynowa. Bicie rekordów w stanie nawiedzenia, bezsenności.

A ja zawsze chciałem dotrzeć do granic swoich możliwości. Żeby się to udało, trzeba być zupełnie wolnym. Mówi pani, że to niemożliwe? Nieprawda: możliwe. Trzeba tylko wygrać ze sobą - ze swoimi słabościami, uzależnieniami, ograniczeniami. Robienie filmu to jest takie starcie. Wielki wysiłek z nastawieniem, że zrobi się na tysiąc procent, żeby wyszło 80. Romans z samym sobą, nie po to, żeby komuś zaimponować, ale by zbadać, kim właściwie jestem.

Dziś jestem kompletnie wolny. I demonstracyjnie czerpię z tego coraz większą przyjemność. Wolny Ślązak, wszędzie obcy.

Życie, nie śmierć

Moje najważniejsze dokonania? Po pierwsze, „Nikt nie woła”. Młodzieńczy, beczelny film. Jakby napalony chłopiec dorwał się do pięknej dziewczyny. I po drugie, że zrobiłem coś ważnego dla Śląska. Czuję, że to dzięki moim filmom

Czasem kupuję w internecie wino. Potem przychodzi paczuszka, słodkie życie... Wino jest idealne do dobrego obiadku. Troszkę, tak żeby się rozochocić do życia

KAZIMIERZA KUTZA WYSŁUCHAŁA ALEKSANDRA KLICH



pół miliona miało odwagę powiedzieć, że są Ślązakami.

Śląsk to mój klucz do życia. Śląsk mi zagwarantował, że zrobiłem coś, czego nikt przede mną nie zrobił.

Wyjechałem stamtąd jako chłopak. Uciekłem, jak ucieka się z piekła, z ziemi niczyjej. Gdy wróciłem, miałem 40 lat. Dobry, męski wiek. Za sobą: pijaństwo, kobiety, pozycję znanego reżysera.

Postawiłem sobie cel: zdefiniować, czym jest śląskość. Cały czas do tego zmierzam i do dziś nie jestem pewny, czy już wiem. Nie, to nie jest tak, że dzięki filmom stworzyłem Górnoślązków. Ja ich obudziłem. Bo to jest straszne żyć bez wyższej kultury.

Ludzie w Polsce mówią, że to wzmacnianie górnośląskiej tożsamości jest niebezpieczne? Bzdura, dowód strasznego ubóstwa umysłowego, głupoty po prostu. Śląsk jest integralną częścią Polski i jeśli ktoś myśli, że Ślązacy chcą go oderwać, to jest to nacjonalistyczne paskudztwo.

Jestem Ślązakiem, ale i Polakiem, bo jestem organicznie związany z kulturą polską. Sam ją tworzyłem. Ale moja polskość jest rzeczą wtórną. Najpierw jestem Ślązakiem. I nie pozwolę, żeby jakieś państwo degradowało moją kulturę do czegoś podrzędnego. Nacjoniści, ten, kurwa, siódmy cud świata, polonizują nas. Chcą nam wepchnąć okropną historię swoich powstań, tej całej polskiej nacjonalistycznej głupoty, która nam - pochodzącym z miejsca, gdzie jak człowiek wychodził do pracy w kopalni, to mógł z niej

Nacjoniści, ten, kurwa, siódmy cud świata, polonizują nas. Chcą nam wepchnąć okropną historię swoich powstań, tej całej polskiej nacjonalistycznej głupoty. **Ślązacy cenią życie, nie śmierć**

nie wrócić - jest całkowicie obca. Ślązacy cenią życie, nie śmierć.

Wystarczy zrobić proste zestawienie: jeśli trzy powstania śląskie kosztowały 4 tys. ofiar, to jedno powstanie warszawskie kosztowało 200 tys. istnień ludzkich i miasto. To było dzieło strasznych idiotów i idiotami są również ci, którzy nam dziś wstawiają kit, że powstanie miało sens.

Takie myślenie to lekkoduchostwo, które żywi się pogardą dla człowieka. A nie ma nic ważniejszego niż człowiek. Jeśli w moich filmach widać, jak górnik idzie do pracy, a za nim, przez okno, wygląda żona, to właśnie jest istota życia. On idzie robić poważną rzecz: walczy o egzystencję. O to, żeby jego dzieci miały co jeść. Bo to jest główne zajęcie człowieka: zapewnić byt rodzinie. A nie bezmyślnie tłuc się, żeby potem ktoś bezmyślnie dorabiał do tego ideologię, że wielcy bohaterowie walczyli za wielkie idee.

Ostre strzelanie na mojej ścianie

W ostatnich latach odeszło wielu kolegów - Holoubek, Morgenstern, Łapicki, Czeczot, Henryk Bereza. Trochę jakbym mieszkał w podziurawionym domu.

To znak, że już się zbliża czas odlotu. Że ostre strzelanie już blisko, na mojej ścianie, tuż obok. I wie pani, to strasznie ciekawe, jak to będzie. Bo to niewyobrażalne, nie? Trzeba się do tego jakoś przymierzać. I dlatego się żyje jakby inaczej, w człowieku narasta jakaś dziwna pokora wobec czasu.

Od czasu, gdy umarł Henio Bereza, opustoszał Czytelnik. To przy jego stoliku po śmierci Holoubka huncwotowaliśmy bezwstydnie. Najpierw oglądaliśmy świeże książeczki w księgarni obok, a potem swawoliliśmy o poezji, seksie, polityce. W środku wszyscy - i Henio, i Głowa, i Gucio, i ja - mieliśmy szczyeniaka. Czytelnik to było piękne miejsce, ale niestety, już umarło. Te



JERZY TROSCZYŃSKI/FILMOTEKA NARODOWA

Na Śląsku, rok 1970
Niżej - rok 1994, na planie spektaklu Teatru Telewizji „Ziarno zroszone krwią”



RYSZARD KORNECKI / TVP / EAST NEWS TEATR

raz przychodzę tam, zjadam obiad, wychodzę. Z poczuciem absurdu przemijania.

Henio umarł na ulicy, na rogu Wiejskiej, w drodze, którą codziennie tupał. Po prostu klapnął, śpiączka, i już się nie obudził. Gdzie ja trzasnę? Gdzie dopadnie mnie luksus ostatniego oddechu? Idealnie przydarzyło się Łapickiemu. We własnym łóżku, nie będąc uciążliwym dla otoczenia.

No nic, nie ma na to rady, trzeba się pogodzić. Ja się nauczyłem wiele od Czechów dzięki ich poczuciu humoru. Bawi mnie, że jak byłem młodszy, chudszy i sprawniejszy, to wchodziłem przez drzwi bez problemów, teraz przeszkadza mi a to framuga, a to klamka. Że jak się przewrócę, to ciężko będzie mi wstać.

Inne są też poranki. Jak człowiek się budzi, to w pierwszej chwili ogarnia go strach, gdzie jest i jaki dzień. Identyfikacja jest takim pierwszym flegmem, próbą pobierania się. Potem jakoś idzie, pod warunkiem że poprzedniego dnia człowiek zaplanuje sobie scenariusz.

Trzeba być też bardziej skupionym. Nie odpuszczać sobie, bo na starość człowiekowi łatwo się odechciewa. Codziennie rano biorę wózek, człapię po bulki, jarzyny do sklepu, tu niedaleko. Poniedziałki lubię, bo jest pełno gazet, sobotę też, bo wychodzi „Wyborcza Świąteczna”, a tam jest dużo do czytania. No tak, niech pani się nie śmieje, że was chwale.

Czy ze starością można sobie poradzić? Dać jej odpór? Nie, nie ma takiej możliwości. Można od niej tylko uciec w słowo, czyli w książki albo w pisanie. Czasem wydziobuję z telewizji jakieś stare filmy. Lubię w nich odkrywać nowy blask.

Kombinuję też, jak wysmarować moją tygodniową klasówkę, czyli piątkowy felieton do katowickiej „Gazety Wyborczej”. I to jest moja fantastyczna metoda na uniknięcie sklerozy. Staram się, żeby było trochę literacko, zabawnie, złośliwie. Nazywam, wyluskuje, kojarzę. Nie wiem, co byloby z moim umysłem, gdybym nie

musiał pisać tych klasówek. Myślę, że to mnie trzyma przy życiu najbardziej.

Takie przejściowe burze w mózgu.

Wino dla rozochocenia

Jak się w dzisiejszym świecie żyje niemłodemu? No, jak kibicowi, którego nie wpuszczają już na stadion. Pogodziłem się z losem i nigdzie się nie wypycham, szczególnie tam, gdzie jest dużo młodych. Na przykład nie chodzę do kina. Ile można znosić pytające spojrzenia: to ten facet jeszcze żyje? Zresztą mi się wydaje, że psuję estetykę, więc po co?

Towarzysko jestem nasycony. Marzę, żeby odbierać jak najmniej telefonów, lubię posiedzieć w ciszy. Tu, na środku tarasu, mam dwa drzewa, lubię się do nich przytulić. Jak wracam do domu po dłuższej nieobecności, to moje dwa koty przychodzą do mnie i razem odpoczywamy. Takie są czule wobec mnie.

To takie nowe przyjemności na starość. Harmonia dawnego awanturnika. Często myślę o ostatnich latach życia Iwaszkiewicza, który nie daleko stąd, jakieś trzy kilometry, po śmierci żony pisał takie wspaniałe wiersze o swoim ogrodzie, o drzewach, psach...

Czasem kupuję w internecie wino. Potem przychodzi paczuszka, słodkie życie... To dla rozkoszy, ja lubię gotować - jak ktoś przyjdzie, to wino jest idealne do dobrego obiadku. Robię przyjemność komuś i sobie. Troszkę, tak żeby się rozochocić do życia.

Jestem szczęśliwy, że mam rodzinę. Że moje dzieci ciągle się wokół mnie kręcą. To mi daje energię, wigor. Przez kilkadziesiąt lat koncentrowałem się wyłącznie na sobie, żeby robić karierę. Gdy zdecydowałem się na rodzinę, było już późno. I teraz, gdy inni mają gromadę wnucząt, ja mam dzieci, które studiują, i tylko jedną wnuczkę.

Dla mojego 20-letniego syna nie mogę być dziadem, do końca muszę być młody.

Niech się Polska posunie

Pyta pani: czym jest ojczyzna? To coś najbardziej intymnego. To mieszkanie, w którym się urodziłem ja, moi bracia i siostry. I ta harmonia, w której żyli nasi sąsiedzi, solidarność w strasznie ciężkich czasach bezrobocia i wojen. Każdego dnia wspólna walka ludzi, którzy są traktowani gorzej, bo dla Niemców są Polakami albo dla Polaków Niemcami, albo dla jednych i drugich Ślązakami, o godność osobistą.

Ślązak wie, że życie to loteria. Raz wygrałeś bilet i na tym bilecie żyjesz, i musisz sprostać temu życiu, dać radę losowi. Godnie. Dlatego dzisiejsza walka o uznanie Ślązaków za grupę etniczną to rzecz niesłychanej wagi. Bo to walka o godność.

I teraz jak już kapcanieję i jestem wyciszony, a wokół wszyscy umierają, to myślę, że chciałbym jeszcze dożyć chwili, żeby polski parlament uznał Ślązaków za grupę etniczną. To byłby największy skarb, jaki dostalibyśmy w swojej strasznej historii. To byłoby spełnienie mojego życia.

Polskie państwo jest wielkie i silne i ma tak wspaniałą kulturę i tak wielu utalentowanych ludzi, że mogłoby się trochę posunąć i zrobić miejsce dla Ślązaków, prawda? Jakby tak wybuchł śląski gejzer twórczości, to byłoby wielkie wzbogacenie polskiej kultury.

Niebo

Tak, jestem chrześcijaninem. Takim z pierwszych wieków, dla którego najważniejsza jest miłość. Chrześcijaninem, który nie ma nic wspólnego z tym agresywnym katolicyzmem. Żeby wiedzieć, co jest dobre, a co złe, nie potrzeba mi Kościoła. Wystarczy, że matka nauczy człowieka, że np. nie wolno klamać, że trzeba się pilnować, żeby nie zranić drugiego człowieka. Mnie tak wychowała, że przed zaśnięciem robię rachunek sumienia, co spieprzyłem danego dnia, czy kogoś nie dotknąłem, nie okłamałem, nie wpadłem w samouwielbienie. Życie powinno być takim nieustannym rachunkiem. Ciągłym podważaniem tego, co się zrobiło, myślało. To najlepszy sposób, żeby zmierzać do czystej sytuacji wewnętrznej. Dzięki temu mniej cierpią ludzie wokół, mniej cierpi się samemu.

Sama pani widzi, cnota przyzwoitości nie potrzebuje katolicyzmu.

Pyta pani, gdzie trafię po śmierci. Oczywiście nie do nieba ani do piekła, bo czegoś takiego nie ma. To będzie coś przypominającego forum greckie. Na kamiennej ławce będę siedział między Modzelewskim i Michnikiem. A ze sceny ksiądz Tischner będzie mówił góralskie dowcipy. I będzie swawolnie i wesoło. To będzie miejsce wolnych ludzi.

Mówi pani, że nauczyłem panią odwagi? I dobrze, bo Ślązacy są strasznie ostrożni, nie lubią się narażać. Jakby historia przysypała ich strachem. I mnie to strasznie wkurwiała.

I niech pani pamięta, że odważny nie kłamie. Jak się łże, to jest się tchórzem. ●



„Krzyż walecznych” (1958)

W 1958 r. w filmach starszych kolegów Kutza wciąż jeszcze trwała wojna. Kino „szkoły polskiej” odreagowało kompleks pokolenia Kolumbów, oszukanego przez historię. Cybulski w „Popiele i diamentach” ginął na śmietniku. Ale w debiutanckim „Krzyżu walecznych” Kutza - adaptacji opowiadań Józefa Hena - ten sam Cybulski jako zootechnik Więcek w miasteczku na ziemiach zachodnich szuka nowego miejsca do życia. Oraz żony. Ale ta, która mu się podoba, okazuje się wdową po bohaterze. Nie może ot, tak sobie wyjść za mąż, musi uczestniczyć w akademiach ku czci, jest własnością społeczeństwa. Jednak pewnego dnia znika...

Kutz w tym filmie, mimo jego pogodnej tonacji, naruszył tabu. W noweli „Pies” żołnierze znajdują bezpańskiego wilczura. Traktują go tak, jakby samego Hitlera spotkali. Wolają za nim: „Kat, gestapowiec, morderca!”. Pies się lasi. Jakoś nie mogą go zastrzelić. „Po co naboje marnować dla głupiego psa?”. Kutza spotkał po tym filmie zarzut, że „obraża lud”.

Filmy Kutza. Przewodnik Tadeusza Sobolewskiego

Czepiano się go zawsze. Był inny. Obcy. Nie stąd.

„Nikt nie woła” (1960)

Najbardziej osobisty film Kutza, obok „Soli ziemi czarnej”. Rok 1945, ziemie zachodnie, chłopak dezerterski w przykrótkim białym płaszczu (Henryk Bokułowski) i wysiedlona Ukrainka (zjawiskowa Zofia Marcinkowska, zagrała jedynie w dwóch filmach - pełniła samobójstwo z miłości). W filmie niemieckie miasto, zalewane tłumem osadników, staje się ekranem przeżyć chłopaka, stendhałowskiego egotysty, olśnionego własnym losem. Tłem miłości są bazarowe stragany, odrapane mury. W tym filmie rodzi się styl Kutza: następuje sakralizacja zwykłej rzeczywistości. Ich ruchy stają się hieratyczne. Zastygają jak przed walką. W tym rytuale miłosnym nie ma nic z sentymentalizmu. Chłopak dąży do miłosnego spełnienia, ale rów-

nocześnie się broni, ucieka spod władzy kobiet. Atmosfera staje się podminowana, a rytm filmu - paniczny. W pewnej chwili wydaje się, że nakładają się na siebie dwie akcje: erotyczna i polityczna. Dramat zagęszcza się, aby w końcu pęknąć jak bańka mydlana.

Chciano zdeptać ten film. Okaleczono bezpowrotnie to, co w nim było najoryginalniejsze - końcową scenę miłosną. Kutz wracał do niej w filmie „Skok” (1967) i w „Perle w koronie”.

„Milczenie” (1963)

Każdy film Kutza z lat 60. był prototypem nowej formy kina. Ten był szczególnie ryzykownym przedsięwzięciem. Wokół młodego chłopaka z miasteczka, oślepiętego przez wybuch niewypału, tworzy się zła legenda. Ludzie mówią: to kara boska za to, że przygotowywał zamach na kościół. Książdz wie, że to nieprawda, ale nie jest w stanie przeciwstawić się opinii, korzysta z otaczającego go fałszywego kultu. Między tym starym, zniedołężniałym księdzem a rzekomym zamachowcem tworzy się milcząca więź. Adaptacja powieści niewidomego pisarza Jerzego Szczygła była bliską Kutzowi opowieścią o szukaniu własnej drogi na przekór wszystkim. Zależało mu, żeby samemu nie być uznanym za „zamachowca”, wroga Kościoła. Dziś wiadać, że to mu się udało.

Ten nieoczywisty film z kreacjami Cybulskiego, Czyżewskiej, z Fabisiakiem w roli starego księdza, w ob-razie i dźwięku sugestywnie oddaje

wrażliwość ociemniałego chłopca, który „widzi słuchem”. Kiedy myślę o drodze Kutza, przypomina mi się ostatni kadr „Milczenia”, któremu towarzyszy minimalistyczna, w wyrazie jakby chińska muzyka Kilara: widziany z góry śnieżny pejzaż i mała sylwetka niewidomego chłopca z laską, który idzie w świat.

„Ktokolwiek wie...” (1966)

W tym filmie, w swoim czasie schłastanym przez krytykę, krytyk Tadeusz Lubelski odnajduje wcześniejszą o całą dekadę zapowiedź „kina moralnego niepokoju”. Z cząstkowych obserwacji wylania się obraz Polski jako „kraju zerwanych więzi”, „świata nieprzedstawionego”. Z początku film wpisuje się w formułę sensacyjną: dziennikarz (Edward Lubaszenko) poszukuje zaginionej dziewczyny. Po drodze trafia na inne wątki. Wszystkie prowadzą donikąd. Widzimy go w pielgrzymce, to znów wśród hipisów koczujących na bocznicy kolejowej. Poszukiwanie dziewczyny staje się pretekstem - to dziennikarz (czy też sam reżyser?) szuka dla siebie miejsca. Jest w nim potrzeba przeżycia prawdziwego święta, mitu, religijnego misterium.

Film, nakręcony według reportażu Krzysztofa Kąkolewskiego, odbijał w jakiejś mierze stan psychiczny reżysera przed jego wielką ucieczką z PRL-u na Śląsk w poszukiwaniu własnych korzeni.

„Sól ziemi czarnej” (1969)

Ten film wziął się podobno ze snu. I z historii wujka reżysera, śląskiego powstańca. „Sól...” zaczyna się jak saga rodzinna: ojciec, wódz klanu, wysyła synów na wojnę. Idzie z nimi najmłodszy, beniaminek Gabriel (Olgierd Łukaszewicz). Pod warstwą stylizacji kryje się coś subiektywnego

- młodzieńcze doznawanie świata. Czy nie jest tak, że pod postacią Gabriela Kutz ukrył siebie młodego, kogoś, kto równie mocno odczuwa więź rodzinną jak własną indywidualność? Gabriel czuje się kimś wybranym, naznaczonym do specjalnej roli, a zarazem słabym, bezradnym, przytłoczonym ogromem zadań.

Ten film w naturalny, wręcz natchniony sposób łączy sprzeczności: jest zarazem patetyczny i komiczny, bohaterski i lotrzykowski, epicki i najgłębiej osobisty. Mitologizacja Śląska idzie tu w parze z afirmacją siebie. „Sól ziemi czarnej” odzwierciedla proces wewnętrznego odrodzenia, zmartwychwstania, przez kontakt z ziemią rodzinną. Kutz stworzył pionierski, symboliczny obraz Śląska, nieznany dotąd w Polsce. Więcej - objawił Śląsk samym Ślązakom, tworząc coś w rodzaju mitycznego filmowego „Pana Tadeusza”, model małej ojczyzny, w której obowiązują tradycyjne cnoty w formie czystej, archaicznej, nieskażonej ideologią. Kino tyleż „plebejskie”, co wyrafinowane nowoczesne, poetyckie. Arcydział.

„Perła w koronie” (1971)

Drugi śląski film Kutza, mimo stylizacyjnych podobieństw, różni się od „Soli ziemi czarnej”. Tamten film był odkryciem „kraju lat dziecińczych”, natomiast w „Perle w koronie” reżyser występuje jako piewca Śląska świadomy swego stylu. Historia zwycięskiego strajku górniczego z lat 30. była traktowana jako przestroga dla ekipy Gierka, ale zarazem była udzieleniem jej kredytu zaufania. Ten film, oglądany dziś, wydaje się jeszcze czymś innym: etapem wyścigu o filmowy rząd dusz, który Kutz prowadził przez całe życie z Andrzejem Wajdą. „Perła w koronie” zdaje się proroczą wizją „Solidarności”. Może to sama „Solidarność” wchłonęła obrazy „Perły”, uświęcając samą siebie? Kiedy górnicy strajkują, wokół kopalni odbywa się istny „karnawał” solidarności.

W tej modelowej śląskiej osadzie z filmu Kutza nie ma konfliktu między wierzącymi a „czerwonymi”. O miejscowych Niemcach mówi się, że są „polscy”. Solidarność jest słowem kluczem do tej wizji Polski. I jak to u Kutza, wszystko jest święte: miejsce strajku z palącą się czerwoną lampką jak w kościele, święty jest mąż wracający z szychty, święta żona, która podaje mu karminadło, i święte łóżko małżeńskie, gdzie ma miejsce, jak reklamowano, „najpiękniejsza miłość w filmie polskim”. Patriarchalna wizja rodziny? Raczej matriarchat.

Ale ta „ideowo-polityczna” wykładnia filmu nie oddaje jego naiwnego uroku. Pal sześć Gierka i „Soli-

darność”. „Perła w koronie” to film o dzieciństwie Kutza. Jego „poema naiwne”. Świat widziany i wyobrażony przez dziecko, jednego z tych dwóch chłopczyków, którzy ściągają karmiadla z ojcowskiego talerza.

„Paciorki jednego różańca” (1979)

Ten film to pogrzeb, jaki Kutz wyprawił stworzonemu przez siebie śląskiemu mitowi. Odwiedziłem go jako dziennikarz na planie filmowym w Giszowcu, osiedlu robotniczych willi zbudowanych przez kapitalistę z początku XX w. Zabytkowe domy były rozwalane zębami koparek. Na ich miejscu miało stanąć blokowisko, które Kutz nazywał „Azją”. Płonęły stosy wyrzucanych rzeczy. Był czerwiec 1979. Wisiały białe-żółte flagi. Trwała pielgrzymka Jana Pawła II - ale z filmu usunięto scenę kościelną. A także scenę, gdy bohater rozpala w piecu „Trybuną Robotniczą”. Kutz wypadł z łaski.

Parę bohaterów jego filmu odtwarzali naturszczycy: starego Habrykę, który nie chce opuścić domu, zagrał śląski aktywista Augustyn Halotta. Jego żoną była niezapomniana Maria Straszna. Władza w końcu wymusza na nich przeprowadzkę do gierkowskiego willowego osiedla pod Katowicami, po którym para wydziedziczonych Ślązaków krąży, wciąż szukając się nawzajem. Scena prasowania białe-czerwonej flagi, którą kazali im wywiesić na państwowe święto: Straszna z żelazkiem starym zwyczajem nabiera w usta wody i opryskuje flagę. W scenie śmierci Habryki charakterystyczna dla kina Kutza momentalna metafora w zbitce montażowej: czekające na stole parujące jajka w kieliszkach - i parujące piece hutnicze.

„Śmierć jak kromka chleba” (1994)

W filmie o górnikach z kopalni Wujek Kutz ominął odpowiedź na pytanie: kto kazał strzelać?

Spróbował odtworzyć świadomość strajkujących. Pokazał przemianę, jakiej ulegają ludzie, broniąc kopalni. Sceny walki kojarzą się ze znojną pracą. Idą w ruch cegły, śruby, sztaby, pałki. Ta walka odbywa się w tłoku, jak średniowieczne bitwy. „Wojsko z nami!” - skandują ludzie. Nagle padają strzały. Kamera, zajęta relacjonowaniem bitwy, nie nadąża za ciałami wynoszonymi do ambulatorium, jakby dziwiła się krwi.

Jak kiedyś „Nikt nie woła” miał być przeciwwagą dla „Popiołu i diamentu”, tak teraz „Śmierć jak kromka chleba” stała się w niezamierzony sposób przeciwwagą dla „Człowieka z żelaza”. Wajda pokazał narodziny „Solidarności”. Kutz żegna się z mitem solidarnościowym, odtwarzając go w najczystszym przejawie, jako niewinną ofiarę. Jest to Pasja „Solidarności”. Czuje się niemal zapach tamtego grudniowego śniegu. Ten film mówi o pokojowej istocie tamtej pierwszej „Solidarności”, pokazuje ludzi gotowych do poniesienia ofiary, co miało doprowadzić do tego, że „zło rozpozna swój sens”, jak mówi ksiądz w „Śmierć jak kromka chleba”.

Zaraz potem Kutz realizuje „Zawróconego”. Mały partyjniak, konformista o chaplinowskich rysach (Zbigniew Zamachowski), przypadkiem wzięty za uczestnika manifestacji, dostępuje nie tyle „nawrócenia”, ile „zawrócenia”. Dwóch światów - zomowców i ludzi „Solidarności” - nie dzieli w tym filmie nieprzebyty mur. Czasem ludziom myliły się znaki. Kutz - jedyny internowany w stanie wojennym znany reżyser filmowy - mówi tym filmem, że to była wojna w rodzinie. Poza walczącymi stronami jest ktoś, kto czuwa nad elementarnym porządkiem świata. W „Zawróconym” jest to po prostu żona w girlandzie lokówek, która opatruje rany „zawróconego” i stawia przed nim talerz zupy. ●

Mistrz teatru małego formatu, wielkiej formy

Przypominamy przedstawienia w reżyserii Kutza, które współtworzyły legendę Teatru Telewizji

JACEK SZCZERBA

1. „Sceny z życia Holly Golightly” (1972) wg Trumana Capote

Adaptacji powieści „Śniadanie u Tifany’ego” dokonał Stanisław Dygat, serdeczny przyjaciel Kutza. Zrobił to tak, by Kalina Jędrusik, żona Dygata, mogła zagrać uwodzicielską i kapryśną Holly Golightly. Wspominają ją dwaj zakochani mężczyźni - narrator (Marian Opania) i barman Joe Bell (Kazimierz Witkiewicz). Kręcono to w katowickim studiu na Bytkowie. Przechodząc od sceny do sceny, pokazywano zastawki fotograficzne z widokami Nowego Jorku.

2. „Stary portfel” (1981) Stanisława Bieniasza

Dramat o śląskiej rodzinie robotniczej z powstańczym rodowodem, która w latach 70. z powodów finansowych decyduje się na emigrację do RFN. Sam Bieniasz też wyemigrował. Spektakl zarejestrowano za tzw. pierwszej „Solidarności”, kołaudacja odbyła się tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Do emisji doszło dopiero 20 kwietnia 1989 r.

Wcześniej Kutz dowiedział się od dwóch techników z TVP Katowice, że spektakl ma być „wykasowany”. Żeby go ratować, przeprowadził akcję wyprowadzenia skopiowanej taśmy ze śląskiego ośrodka TVP, w której uczestniczyli owi technicy oraz student i dziekan Wydziału Reżyserii Uniwersytetu Śląskiego.

3. „Opowieści Hollywoodu” (1987) Christophera Hamptona

Historia fikcyjnego wyjazdu Odöna von Horvátha (Janusz Gajos) do niemieckiej kolonii literackiej w Hollywoodzie. Austro-węgierski dramaturg tak naprawdę zginął przywalony przez drzewo w Paryżu w roku 1938. Są tu wszyscy, przeważnie pokłóceni, niemieckojęzyczni antyfaszyści, m.in. Thomas Mann (Jan Peszek), jego brat Heinrich (Jerzy Bińczycki) z żoną Nel-

ly (Monika Niemczyk) oraz Bertolt Brecht (Henryk Bista). Po emisji spektaklu 25 lutego 1987 r. Tadeusz Łomnicki zadzwonił do Kutza, krzycząc pod adresem Gajosa: „Wieceelki aktor, wieceelki aktor!”. Powszechne zachwyty sprawiły, że „Opowieści Hollywoodu” powtórzono już 30 maja.

4. „Do piachu” (1989) Tadeusza Różewicza

Ten obrazoburczy spektakl wyemitowano dopiero po kilku miesiącach od realizacji, poprzedzając go telewizyjną dyskusją z udziałem autora i reżysera. Jak pisał krytyk: „Zamiast heroicznej walki z okupantem Różewicz ukazał leśną roślinność partyzantów - smród, wszy, prymitywny język, przekleństwa. Centralną postacią dramatu uczynił nierozgarniętego wiejskiego chłopaka Walusia (Piotr Cyrwus), który za rabunek i gwałt zostaje skazany na śmierć i rozstrzelany przez kolegów z oddziału. Tuż przed egzekucją nie może się powstrzymać i robi w portki”.

5. „Kolacja na cztery ręce” (1990) Paula Barza

Relacja ze spotkania Jerzego Fryderyka Händla (Roman Wilhelmi) i Jana Sebastiana Bacha (Janusz Gajos) w Hotelu Turyńskim w Lipsku w 1747 r. W rzeczywistości ulubieniec dworów Europy i skromny lipski kantor od Świętego Tomasza nigdy się nie spotkali. Pierwszy funduje drugiemu wystawną kolację, podczas której „otwierają się” obaj, dając upust żalom i kompleksom.

6. „Stalin” (1992) Gastona Salvatore Bliski śmierci Józef Stalin (Jerzy Trela) wzywa do siebie żydowskiego aktora Icyka Sagera (Tadeusz Łomnicki), świętującego triumfy w roli króla Leara, by porozmawiać o sztuce Szekspira. Sugeruje, że przedstawienie, w którym gra Sager, jest antyradzieckie... Nagrywając nocami ów spektakl,

Łomnicki był właśnie w trakcie prób do „Króla Leara” w Teatrze Nowym w Poznaniu. W sztuce Salvatore Sager boi się Stalina, na planie u Kutza stremowany Trela lękał się Łomnickiego.

7. „Ziarno zroszone krwią” (1994) Jerzego Stefana Stawińskiego

Oparta na dokumentach źródłowych relacja z kilku spotkań dowództwa AK w końcu lipca 1944 r., z których wynika decyzja o wybuchu powstania warszawskiego. Znakomita obsada, m.in. Jan Peszek (gen. Bór-Komorowski), Jan Frycz (gen. Okulicki), Jan Nowicki (gen. Pełczyński), Krzysztof Globisz (plk Rzepecki) i Edward Linde-Lubaszko (plk Chrusciel).

8. „Emigranci” (1995) Sławomira Mrożka

Polski emigrant polityczny AA (Marek Kondrat) i emigrant zarobkowy XX (Zbigniew Zamachowski) w noc sylwestrową spotykają się w suterenie wieżowca na obrzeżach wielkiego miasta. Pierwszy marzy o napisaniu książki „o człowieku w stanie czystym”, drugi o triumfalnym powrocie do rodzinnego miasteczka. Wokół nich jest proste łóżko, stół, odrapane ściany, kuchenka gazowa i żalosna atrapa zlewu. A między nimi kłótnie o każdego papierosa, paczkę cukru czy herbaty.

9. „Netta” (1998) Eustachego Ryłskiego

Rzecz współczesna o zdolnym reżyserze filmów rozrywkowych Tryku (Zbigniew Zamachowski), który stara się doprowadzić do realizacji wyjątkowo ambitnego scenariusza. Ponieważ środowisko, myśląc po kupiecku, odradza mu projekt, Tryk prosi o radę starego filmowego mistrza - Hollmana (Jan Nowicki). W związku z planowanym filmem swoje próbuje też ugrać prezydent Dołęga (Bohdan Łazuka). Plotkowano, że to utwór z kłuczem - o Pasikowskim i Wajdzie. ●